

GONIFC

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 17 Lutego
1 Marca 1877 r.

N^o 9.



Fotodruk J. Dukiew.c.a.

Marya Deryng.

MARYA DERYNG.

Przypomnijcie sobie, czytelnicy, ową uroczystą chwilę, w której młoda artystka, jako Małgorzata Goethowska, w ostatnim obrazie Fausta, w niespokojnym a dręczącym śnie pogrążona, naraz zrywa się z więziennego posłania, z konwulsyjnym dreszczem rozpaczy i boleści...

Ten jeden ruch, pełen prawdy i siły, niezawodnie pozwolił wam zastosować mądrą maksymę: *ex ungue leonem...* Poznaliście odrazu, że artystka która debiutowała poraż pierwszy na scenie warszawskiej, pomimo iż zawarła swój występ w ciasnych ramach jednego obrazu, potrafi jednak ujmować, podbijać i zachwycać...

Istotnie też tak się stało.

Przeciągły oklask był zasłużoną odpowiedzią, która znaczyła: masz talent, zapal, siłę; gra twoja z serca idzie i z prawdy, a występ twój dzisiejszy jest tryumfem.

W grze artystki złożone były wszystkie dodatnie pierwiastki istotnie dramatycznego talentu. Odczuła to publiczność, zrozumiała dyrekcja teatrów, a mimo to że panna Deryng tylko w tym jednym obrazie Fausta dowiodła swojej siły, w rok później zaangażowano ją na scenę tutejszą, której też wkrótce stała się ozdobą i podporą.

Zanim się to stało, młoda artystka przez lat parę pracowała we Lwowie. Zwykłą koleją artystycznej kariery, nieodrazu trafiła ona na właściwą dla swojego talentu drogę. Młodość wczesna wskazała jej pole popisu w rolach naiwnych. Kilka ról takich odegrała z powodzeniem, które ją uczyniło ulubienicą sceny lwowskiej. Przypadek dopiero wykazał, że w młodej piersi kryje się iskra gorętszego zapalu, że po za naiwnością dziewczęcia z „Pożaru w klasztorze“, „Radców pana radcy“ i w innych, panna Deryng posiada warunki konieczne do gry wysoce dramatycznej, i że dopiero w dziedzinie dramatu i tragedji znajdzie się ona na stanowisku właściwym.

W r. 1873 młoda artystka, szczęśliwym zmuszona trafem, wystąpiła w roli Wacława w „Drahomirze“ obok Rakiewiczowej. Występ ten zwrócił na nią uwagę wszystkich. Siła gry, przejęcie się dramatycznym nastrojem roli, ogromny zapal, dykcja wysoce szlachetna... wszystko to znalazło się jakby na zawołanie, i odtąd p. Deryng z ról naiwnych przerzuciła się stanowczo na pole dramatu. Ofelia, Małgorzata, Ludwika Schillerowska, Kordelia w Le: arze, Joanna d'Arc... znalazły w jej grze wszystkie objawy scenicznego życia, w którym, po za prawdą realną, tętniała siła zapalu artystycznego, płynąca z poezji, jaką ta artystka nosi w swęj duszy.

Scena warszawska zawdzięcza pannie Deryng wiele świetnych chwil, chociaż działalność jej-u nas krótką była dotąd. Wszystkie prawie dramaty, przedstawione od roku, przy jej współudziale grane, w grze jej świetnej i gorącej odnajdywały niemalą część swego powodzenia. Ludwika (Intryga i miłość), Henryka Laroque, Panna de Belle Isle, Desdemona, ożywione jej zapalem, wywoływały grzmot oklasków rozentuzymowanej publiki. Jako Julia Szekspirowska, artystka stanęła na wyżynie swojego zawodu, a był to tryumf niełatwy, gdyż pierwęj rolę tę grywała Modrzejewska. Julia przecieź panny Deryng ukazała się inną, odmienną, mniej idealną, ale gorętszą za to, więc bliższą tej prawdy, jaką chciał przedstawić genialny dramaturg angielski. Ostatni świetny występ panny Deryng w *Hrabinie de Somerive* ujawnił też niepospolite odczuwanie realnych warunków żywej natury, którą artystka widocznie wzięła za ideał do osiągnięcia w grze, na drodze zapalu, szczerości i poetycznych uniesień.

Ostatnie to zdanie nasze mogłoby wystarczyć za pobieżną charakterystykę tej gry wręcęj, dzielnej, porywającęj, która jednakże mięwa chwile widocznego słabnięcia, chwile nierzadkie, a będące logicznęm następstwem talentu wrodzonego artystki. Powiedzieliśmy że nosi ona poezyę w głębi duszy, i jako poetka artystka, pozwała się unosić, rozpromieniać i goreć swojej grze, ilekroć dla zapalu swego znajduje w roli odpowiedni żywioł. Jeżeli się jednak trafi w tej samej roli moment obojętny, przejściowy, jak łącznik pomiędzy chwilami uniesień i porywów—

dzielna artystka chłodnie, przymus w grze jej wydatnieje, a rutyna, niezdojbyta jeszcze przez krótkie lata działalności, nie umię go zamaskować.

Panna Deryng, w obmyślaniu całości roli, w przeważaniu utajonych w niej potęg dramatycznych, w ujawnianiu ich wreszcie z porywającę siłą zapalu jest artystką już dzisiaj pierwszorzędną. Brak jej tylko doświadczenia scenicznego, które przychodzi z latami. Nabędzie je, prędzej lub później, a wówczas...

Lecz... wróżby nie należą do nas! Przyszłość przyniesie plon pracy, wieńce i kwiaty, uznanie i ów czar upojenia artystycznego, który jest największą rozkoszą dusz wybranych.

My chwytamy skwapliwie każde uniesienie artystki, każdy objaw jej wręcęgo zapalu, każdy wykrzyk jej głębokiego uczucia, ceniąc w niej nad wszystko tę artystyczną szczerość, z jaką ożywia przedstawiane przez się postaci. Dla tej szczerości i prawdy brak rutyny scenicznej darujemy jej najchętniej, gdy go tak bardzo hojnie okupuje siłą talentu i gry.

St. M. Rz.

Nieszczęśliwa dziewczyna!

Ma oczęta — z turkusów,
I kędziory — z bursztynu,
A zębęcki — perłowe,
I ustęcka — z rubinu!

Pięć ma białę, liljowę,
A na liczku dwie różę,
I gors pełny, kowany
W kararyjskim marmurze.

Rączki, nóżki ma sylfie
A zgrabniuchna jak sarna,
Szczębiotliwa jak ptaszka,
A jak kotek figlarna.

Mówią ludzie powszechnie
Że przy duszy anielskiej,
I gołębiem serduszku
Ma rozumek djabelski.

Co za śliczna dziewczęcka!
Żalem pierś mi się wzdyma
Na myśl że ta biedaczka...
„Tak zupełnie nic nie ma!“

Chochlik.

BUKIECIK FIJOŁKÓW.

NOVELIA A.

(Dokończenie).

Oslupiał. Uczuł się w położeniu człowieka tonącego... bez ratunku. Gdyby miał brzytwę pod rękę, byłby ją niezawodnie schwytał, aby się przy jej pomocy na wierzch wydostać. Brzytwy nie było; był tylko fatalny list, którego różowa barwa przybięrała w oczach załapanego męża czerwoność krwi. Stał milczący, z roztwartemi na polę usty, z oczami w bilecik wlepionemi, z rękę wyciągnięta, ale wstrzymaną w połowie ruchu...

— Weź-że, co twoje — rzekła zwolna pani Helena, patrząc mu w oczy z wyrazem ironii i pogardy. — Jeżeli

zdradzasz żonę, bądź słownym... przynajmniej... dla kochanki. Nie zapominaj że godzina umówiona niezadługo. A radzę ci też, dokup jeszcze do tej kolidy broszkę i kolczyki, bo jeżeli dar wzgardzonym został, to tylko dlatego, iż był... nie dość hojnym.

Skończywszy mówić, pani Helena lekkim ruchem rzuciła list pod nogi męża i odwróciła twarz bladą od wzruszenia w stronę okna.

On stał jeszcze, niemy, rażony jakby piorunem, niewiedząc co mówić i czując tylko że położenie jego jest zarówno dramatyczne, jak śmieszne. Poczul to dobrze, że nastrój tragiczny jego wyrzutów poprzednich wytężył się zbyt silnie... i pękł, jak bańka mydlana. Grot obrócił się przeciwko niemu... Cóż było czynić?

— Helenko — rzekł po chwili głosem niepewnym. — To bardzo dziwny zbieg okoliczności, które potrzebują wyjaśnienia... Zechciej posłuchać.

Ona żywym ruchem powstała i przeszła się parę razy po pokoju.

— Było to tak... Chcąc się przekonać, czy mnie kochasz...

Piękna pani stanęła w tej chwili przed mówiącym i wlepiła weń spojrzenie chłodne, obojętne, a mimo to przesywające do głębi duszy.

— Mów... mów dalej — rzekła głosem pewnym — słucham tego objaśnienia, które jednakże zgóry uważam za... kłamstwo! Mów śmiało. Mogę być aż tak naiwną, iż ci uwierzę znowu, jak przed godziną, gdyś mi przynosił owe brylanty.

— Oto... ale po co tu tłumaczenia. Wina po obu stronach — dodał pewnym już głosem małżonek — i jeżeli potrzeba objaśnień... żądam ich także.

Ona odeszła o parę kroków, usiadła znowu na kozecie i wsparła głowę na dłoni. Nie mówiła nic, tylko zbliżała jak chusta, a potem glucho załkała.

Mężczyźni bywają... czasami okrutni aż do dzikości. To łkanie pani Heleny przywróciło całą przytomność jej mężowi. Zbliżył się ku niej teraz, jak kat do swojej ofiary, i rzekł głosem przytłumionym.

— Teraz ty mów... na Boga, nie tając nic. Czekam...

— Dobrze więc, powiem wszystko. Ten człowiek, który ztąd wyszedł niedawno, jest zbyt prawym i szlachetnym, aby szukał miłości u cudzego ogniska. Przyszedł tu po to, aby mi powiedzieć, iż życie jego idzie gościńcem czynu i zasługi; że wspomnieniom młodości winien wszystko, że zresztą... wspomnienia te, jeśli nie zamarzy w duszy jego, to żyją jasne, czyste, święte. Znieważyles go posądzeniem... a może i słowem, a przecież gdyby była wina, to tylko po mojej stronie.

— A!... więc przyznajesz!

— Przyrzekłam mówić prawdę i nie ukrywam nic. Gdy on, w prostocie serca, przypominał chwile dawno już minione, ja... nie umiałam zrozumieć tego, jak należało. Czując żar tego grzesznego listu, który trzymałam w dłoni, zgnębiona fałszem i zdradą... o!... jakżebym chętnie słuchała cichych, ale szczerých słów uczucia! Potrzebowałam ich, aby się ukoić... nie pytając z kąd idą. I zdawało mi się że je słyszę, ale to była omyłka. Ten człowiek odszedł, a odchodząc, pożegnał mnie na zawsze. Mówił o wspomnieniach, o sielance młodości, o uczuciach których echo odzywa się czasami w piersi... a ja...

— A ty?...

— Ja... omyliłam się! Cóż chcesz... można się było omylić. Nie byłabym go posądzała nawet o prawość i szlachetność, tak jak nie posądzam o nie... ciebie.

Ta szczególna, otwarta spowiedź żony spadała wyrazami, jak kroplami rozpalonego ołowiu, na serce męża. Widział w tej chwili, że Helena ma prawo być szczerą, nie tać nic, nie lękać się niczego, że jego własny postępek upoważnia ją do tej szczerości. Cóż miał mówić?... Milczał, słuchając, a milczał tak, jak człowiek który do odezwania się wątka odnaleźć nie umie.

— Powiedziałam ci wszystko — ciągnęła dalej Helena. On odszedł, a prawdopodobnie nie zobaczymy się więcej. Pozostała mi tylko gorzka przeświadczenia, żem zgrzeszyła myślą, i tylko... przez omyłkę!

— Więc tej omyłki żałujesz?... — szepnął zdumiony, podchodząc ku niej.

— Żałuję. Zdaje mi się że to zniewaga... że miałam prawo odwetu, które trzymałam w ręku, a które uciekło... niepowrotnie. W tej chwili... pozostał mi tylko żal, gorzki, bolesny... Jeżeli mi chcesz uczynić łaskę, zostaw mnie samą. Potrzebuję namysłu, zimnej refleksyi... abym odpedziła upojenie i... rozpacz.

„Więc ona nie żałuje grzechu, lecz tylko omyłki?... — pomyślał mąż. — Mówi o prawie odwetu... szukała zemsty... a to wszystko przeciwko mnie... Ten list fatalny — ta... Hortensya, ten stosunek — a tutaj!... Gdzież ja, gdzież ona zająć może?...”

I oto znalazł się po tym namyśle u stóp swojej żony.

— Przebac mi — szeptał namiętnie — przebac! Zgrzeszyliśmy oboje, ale do mnie tylko należy prawo pokuty i zadostyczynienia. Zapomnij i przebac!

Ona łkała cicho, serdecznie, tuląc rozpaloną twarz w dłoniach, odwrócona od niego.

— Przysięgam ci.. przysięgam na przyszłe nasze życie, które musi być czyste i jasne jak niebo wiosny, iż ty tylko jedna...

— O, nie mów tego — wiara moja złamana! — szepnęła glucho.

— Niel... to był błąd chwilowy, którego wspomnienie nawet umrzeć powinno..

I zaklęcia pana męża odbijały się długo o ściany eleganckiego buduaru, aż wreszcie Helena uwierzyła i pochylila się w jego objęcia z pocałunkiem miłości, tak gorącym, tak szczerým, jak jęj spowiedź.

* * *

Młodzi małżonkowie dnia tego jeszcze opuścili kochaną Warszawę, która umie na każdym kroku podsuwać pokusy... niezdołym sercom... Helena odjeżdżała szczęśliwa, rozmarzona, a żal poprzedni zmienił się w usposobienie tkliwe, rzewne...

Mąż był nią oczarowany. Mógłbym wam przysiąc, że kochał się w niej teraz z całą siłą młodzieńczego zapędu, czy jednakże dotrzymał przysięgi i obietnic — nie wiem!

To jednak pewna, że, jakkolwiek opisana scena działa się lat temu kilka, pan mąż dotąd nie uronił ani jednego różowego liściku. Chciejcie to uważać za symptomat niezachwianej wierności.

St. M. Rz.

PYŁKI.

Zmiąwszy kilka kart papieru i odebrawszy życie pół tuzinowi gęsih piór — postanowiłem nie pisać dziś feljetonu a dać natomiast... koncert.

— Co? koncert! — wołasz piękna pani Juljo, patrząc przy tém zdziwioną parą zrenic..

— Tak jest pani dobrodziejko — koncert najformalniejszy w świecie koncert, choćby w sali Resursy Obywatelskiej z początkiem o godzinie ósmej.. Czyż w tem co dziwnego.

— Naturalnie! pan który nie jesteś ani w jednym calu wirtuozem, pan który nie grasz ani na czarnych ani na białych klawiszach, pan którego denerwują skrzypce, który nie wiesz z jakiej strony chwytą się wiolonczellę, ani też jakim sposobem dobywają się tony z fagotu, który nie trącasz strun arfich, nie trubadurujesz, nie deklamujesz, nie skaczesz wreszcie na linie... i pań, pan chcesz dać koncert?

— Tak i upieram się przy tem stanowczo. Chwilkę cierpliwości. *Bedenk ich die Sache so ganz genau..* jak tam w innej okoliczności mówi bł. p. mój przyjaciel Heine,

to dziś nie potrzeba zupełnie talentu do wystąpienia z koncertem. Dziś potrzeba tylko... okazji i pretekstów! Na sto koncertów, które strawić musi w obecnej dobie Warszawa — blisko... połowa (koncertanci! podziwiającej naszą pobłażliwość) — zapukała do względów publicznych nie mając do tego zupełnego prawa.

Dlaczegożby więc i mnie, dwóm marnym, niezamożnym, źle i nieregularnie honorowanym literom, do końca feljetonów jakby z łaski przyczepionym, nie udało się urządzić koncertu?...

Poradzę sobie tu z pewnością i zobaczycie, jaki wam wyprawię koncert.

Oto odzławszy się skromnie, lecz niemniej uroczyście, zakolaczę do bramy tusculum której z naszych artystek dramatycznych.

Jak się zaczęła łąsić, kręcić, uśmiechać i ukradkiem lży ocierać — doprowadzę w końcu z pewnością do tego, że pani Rakiewicz obieca mi odczytać jaką perelkę Szymanowskiego, że panna Deryng przyrzecze deklamację Ujejskiego, a panna Popielówna też się nie powstrzyma i wypowie coś z Ely...ego a coś z Bałuckiego.

Wracając z tej pierwszej wyprawy wstąpię do Teatru Dobroczynności, gdzie odszukam na amatorskiem przedstawieniu p. Gawalewicza, który w pierwszej serji dobroczynnych reprezentacji, wyskoczył po nad swe otoczenie, jako wytrawny pełen talentu, artysta.

— Panie Gawalewicz! zrób mi pan jedną łaskę... drobną koleżeńską przysługę. Daję w tych dniach koncert i chce pana ubłagać, abys przyjął w nim udział i oddeklamował mój wiersz liryczny p. t. „Nad strumyczkiem“.

(W nawiasie mówię wam, iż wiersz ten w obec zbyt surowych formalistów będzie uchodził jako główny pretekst koncertu samorodnego talentu. Pst! tylko cicho) Pan Gawalewicz wymawia się z wielką wprawą, biada nad tem, iż od chwili, w której mu się udała rola lekkiego amanta, znosi sto wizyt dziennie różnych protektorek i mecenasek dobroczynnych, pragnących go zjednać dla swoich widowisk, wreszcie — rozczulony moim „Nad strumyczkiem“ przystaje.

Ot i cztery numera deklamacyi — jakiej by mi nie jeden pozazdrościł koncertant. Bierzmy się do fortepianu.

Józef Wieniawski mieszka bardzo ładnie przy ulicy Królewskiej pod nr. 35. Wysiadam więc tu i składam wizytę pianście, który właśnie w tej chwili wyprowadza do drzwi ośmiu długowłosych młodzieńców i cztery zamyślonie dziewice — czyli razem sztuk dwanaście z rozpaczliwymi fiziognomiami do koncertanckich twarzy dziwnie zbliżonemi.

Skoro Wieniawski usiadł i otarł pot z czoła, zaczynam z nim mówić o Don Karlosie, w Hotelu Europejskim, o wieczorach muzycznych u Gebethnera, cieszących się powodzeniem, o sprawie zapisu Staszycza i zwiększonym formacie *Nowin niedzielnych* — aż wreszcie znudzony go obficie spowiadam się z celu mojej inwazyi i wściekłym szturmem biorę znakomitego artystę. Będzie grać dwie transkrypcje lisztowskie.

O skrzypka nie było mi trudno. W gronie przedstawicieli tego przyjemnego instrumentu jest kilku młodych ludzi, o tklivém sercu, których poruszyć już łatwiej, w półgodziny więc miałem tyle przyrzeczonych numerów iż wahalem się, ażali zaprosić pp. Barczewicza, Kotka, Adamowskiego razem, czy jednego z nich tylko faworyzować?

Na rogu ulicy Czystej spotkałem Filleborna, który mi także obiecał zaśpiewać „Lirnika“ jak tylko będzie dysponowany a choć już na placu Teatralnym dogonił mnie jego posłaniec z odmową, nie wiele jednak miałem kłopotu, dwa tuziny bowiem „śpiewaczek przyszości“ ofiarowało mi swój współudział z godną zaznaczenia skwapliwością.

Gromadząc starannie numera programu, postanowiłem nadto ozdobić koncert czémś bardzo oryginalnym i tu wpadłem na myśl zaproszenia p. Szulca, pierwszego skrzypka Teatru Wielkiego, a znakomitego przytém kontrabasistę. I tak ułożywszy z wszelkich „gałęzi“ sztuki wzorowy program, począłem uprządkowywać... bilety!

Bilety tedy mógłbym złożyć w księgarni; wielokrotnie jednak praktyka niektórych koncertowiczów, inaczej poucza. Bilety zabiera się do... własnej kieszeni, celem szybszego i pewniejszego ich w kurs puszczenia, lub daje się niezawodnym, wypróbowanym przyjaciolom, którzy z całą energią zajmą się ich kolporteryą.

Znam np. pewnego Izycra. Nie mógł się lepszy człowiek urodzić na przekupnia biletów koncertowych. Powiadają nawet, że ów Izidor rzeczywiście nie raz bierze na się mecenasa rolę, że chętnie w pieluszkach drzemającym geniuszom koncertowym w ten sposób dopomaga.

Pan Izidor — a warto go widzieć — ma szczególną manierę w aplikowaniu biletów.

Z przyjacielem teatru, który stroni od koncertów jak od złego powietrza, rozpocznie gawędę o sztuce, o spodziewanym przyjeździe wielkiego tragika włoskiego Rossiego, o „Hrabinie de Somerire“ i o tryumfie, w sztuce tej panny Maryi Deryng *).

Wreszcie tak się z nim zgodzi, tak podzieli wszystkie jego zdania, tyle słuszności przyzna obserwacyom, że w końcu, gdy go zagabnie o bilet, rad nie rad przyjaciel teatru sięga do portmonetki i składa należny haracz.

Inaczej znowu poczyną sobie z melomanem. Temu żywemu obrazami odmaluje rozpaczliwe nieraz położenie włoskiej opery a choć przyzna pannie Saurel w „Traviacie“ pewne zalety, za to jednak potępi „Aidę“ i nakłoni go do szukania prawdziwej muzyki tylko na... estradzie koncertowej.

— Zapewne pani dobrodziejka... mówi ów Izidor... ze chce poprzeć obiecujący talent feljetonistowski, który dla dalszego kształcenia „Pyłków“ zamierza udać się za granicę!

Ot i trzeci bilet sprzedany osobie pięknych porywów i miękkiego serca.

— Młody człowiek... ciągnie dalej Izidor w obec innej niewiasty... młody człowiek, który występuje dziś z koncertem, godzien jest współczucia. Już młodzieńcem sięrotą, przebijając się musiał przez te cierniste drogi żywota...

I zanim dokończy frazesu czwarty bilet przynosi się z jego zawsze pełnego portfela do rąk słuchaczki.

A Izycrów takich wielu, wielu. Nawet ty pani Julio... przynaj się do tego otwarcie... niejednokrotnie dopuszczalaś się w intencji zbycia biletu zamachu na kieszeń swoich najuniżeńszych wielbicieli.

Bilety prawie wszystkie sprzedane. Resztą drobnych szczegółów zajmie się p. Daniel Nierenstein.

Pan Nierenstein jest to nasz Strakosch, ma on zaś tę wyższość przed wymienionym właśnie amerykańskim impresariem, iż tamten odkrył już jedną Patti i drugi raz z pewnością jęj nie odkryje a nasz Strakosch dotąd nic nie odkrywając dzieła tego jednak dokonać w przyszłości może.

Pan Nierenstein jest człowiekiem, uprzejmym, obrotowym, zna ścieżki do wszystkich redakcyi, formalności załatwia parą i tak koncert przychodzi do skutku.

Co miało śpiewać — śpiewa, co grać miało — gra, deklamatorowie — deklamują, koncertant jakikolwiek by on był, zagłuszony zostaje oklaskami, obrachunek kassy, nazajutrz recenzenci przelewają wodę z jednego dzbana w drugi i koncert skończony.

...Więc bardzo proszę nie dziwić się, gdy podpisany ogłosi swój koncert, ale raczej rozchwytać poleca się bilety. *Samiel hilf!*

tc.

*) Sensacyjna sztuka ta przez niewiadomą nam osobę tłumaczona jest tylko jednem polem popisu dla artystki, a zresztą robotą tandetną.. (luźny przypisek).

FAŁSZYWE BLASKI.

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE,

ZOFII MELLEROWEJ.

(Dokończenie).

LEONORA (*uderzona myślą*). Ah, lecz skoro nie przyjęty, zatem studjowanie roli, było kłamstwem wymyślonem dla zamaskowania prawdziwych stosunków. Znajomość owa i dedykacja nie w interesie sztuki zrobione, w jakimże tedy celu, mów, w jakim?

FILIP. Nie wiem, jak babcię Kocham.

LEONORA. Mów, mów!

LUBIN. Ah, jakżeś okrutną!... w takiej chwili! odzrucony!

LEONORA. Zgaduję! więc mię zdradzasz! oh! to nikczemnie!

LUBIN. Co za podejrzliwość! Dedykacja owa niemniej była w interesie dramatu, tylko dla innej artystki, z innego teatru.

FILIP (*z roztrzęsaniem*). Dla Flory z Eldorado.

„O jasnowłosa,
Córo Heljosa!“

LEONORA. Rozumiem! oh!

LUBIN. Widzisz smyku do czego doprowadziły twoje głupstwa!

LEONORA. O, to już tylko ostatnia kropla przepelniająca miarę goryczy!... Ty sam każdodziennie częściej zastony zdierałeś mi z oczu.

LUBIN. Ja?

LEONORA. Pięknieś głosił piękne zasady, aleś postępował wręcz przeciwnie... Bolałeś nad mojem położeniem przy człowieku nie dość prawda ukształconym, lecz z gruntu uczciwym, a sam jaką zgotowałeś mi dolę?... Pierwej otoczona szacunkiem, przywiązaniem, dostatkiem, przyjaciółmi, żyłam swobodna, nieświadoma nawet lepszego losu—zjawiłeś się ty, jak szatan dmuchnąłeś sarkazmem i pokusą na skromne nasze ustronie i wnet zerwała się burza... mąż w strapieniu, dziecko zaniedbane, dom opuszczony, ja w obłąkaniu! Nakoniec, gdy po wielu krwawych ciosach wszłam pod twój dach, cóż zastałam?

LUBIN. I cóż tak straszego?

FILIP (*na str.*). Ciekawym...

LEONORA. Obojętność, przesyt, drwiny z wszystkiego co człowiek przywykł szanować jak świętość; zarozumiałość, egoizm posunięty aż do okrucieństwa, w dodatku płochość, kłamstwo, niedostatek, zdradę!

LUBIN. Wyrzucasz mi ubóstwo, toż się za bogacza nie przedstawiałem.

LEONORA. Aleś się mianował poetą, to jest człowiekiem gorącego serca, szlachetnych dążeń, podniosłych idei!... Przyrzekałeś umysł mój ukształcić, serce uzacnić, duszy ukazać obszerniejsze widnokęgi. Jak ku światłu kwiat, jam się ku tobie zwróciła... Gdzież twoja wyższość w praktyce życiowej?... *Idealizmem*: zwie się u ciebie lekceważenie nieodzownych potrzeb; *niepodległością*: wstręt do pracy i obowiązków; *prawem*: własne zachcianki; *wyższym poglądem*: brak wszelkich zasad; *fantazją*: cyniczne wybryki!... Wszystko depcesz nic nie milując!... Nie tak postępuje człowiek prawdziwie wyższy... tyś zbrukał talent. Nie pieśniarz, lecz cygan jesteś, nieokiełnany cygan, żyjący bez pracy, bez praw, bez obowiązków, bez Boga!

FILIP (*na str.*). Daj ją katu a to się zaperzyła!

LEONORA. Z takim usposobieniem nie należy się żenić przynajmniej. Nie godzien rodziny, kto dla niej nie umie się poświęcić.

LUBIN. Na honor, z ciebie artystka nie lada! Co za rysunek! jak gorący koloryt, jakie światłocienie! Szkoda tylko że z tego obrazu, wyszedłem od diabła czarniejszy.

LEONORA. Twoje szyderstwo mię nie dotknie, za wiele już przecierpiałam!

LUBIN. Moja droga, dla kamerdynera nie ma bohatera. Na te sążniste tyłady odpowiem jedynie, że nazbyt jesteś exaltowana, skutkiem czego popadasz w krańcowość. Jak poprzednio uroiłaś sobie niebywałe we mnie doskonałości, tak teraz odzierasz ze wszystkiego. A ja znowu tak zły nie jestem, trochę za lekki może i nie dość systematyczny, ot i wszystko. Że zaś w moim wieku niełatwo się odmienić—nałogi wyrobiły mi drugą naturę—więcej przyjmij jak jest i idźmy, zgodnie razem, skorośmy się złączyli.

LEONORA (*stanowczo*). Nie pójdziemy razem.

LUBIN. He? co?

LEONORA (*mocniej*). Nie pójdziemy razem.

FILIP (*na str.*). Może ona zakochała się we mnie, w mojej odwadze... bom chwyt co się zowie!

LEONORA. Pojadę do ciotki i tam wraz z Ewunią i Janową żyć cicho będziemy.

LUBIN. Żartujesz!... Mogłażbyś mię porzucić, Leno, żyć sama!

LEONORA. Z tobą stokrć gorsze męki.

LUBIN. Utracić ciebie to niepodobna! tyś się nie zastanowiła Leno!...

FILIP (*ciszéj do Lubina*). O cóż ci chodzi, gustujesz przecie w Florce?

LUBIN. Głupis, setki Florek nie zastąpią jednej takiej jak ona kobiety, (*do Leno*). Błagam cię Leno, zastanów się... Co świat na to powie?

FILIP. Opinja? jeden baran pomnożony... nie jako?... eh, zgola że tém się gardzi!

LUBIN. Słuchaj, sprowadziemy Ewunię, przyjmę urządowanie, wezmę się do pracy, zerwę z przeszłością.

LEONORA. Za późno, za późno.

LUBIN. Balamutną, nieporządną naturę, ujmę w karby obowiązku... przysięgam!

LEONORA. Choćbyś chciał, nie wytrwasz, brak ci charakteru.

LUBIN. Litości, przebaczenia, Leno!

LEONORA (*śmieje się ironicznie*). Ha, ha, ha, żądasz przebaczenia! ha, ha! Czy przebaczyłbyś djamentowi, któryby po bliższej uwadze, okazał się prostem szkłem? Odrzuciłbyś go precz, żalując jedynie, żeś nad wartość przepłacił. Podobnie ja zawiodłam się na tobie!... Nie rozu niem przebaczenia, znam tylko rozczarowanie.

LUBIN. Surową jesteś, każdy zbłądzić może.

LEONORA. Zbłądzić — lecz nie zbłądzić ustawicznie.

LUBIN. Jednak mimo wszystkich moich wad, ja cię Kocham, Kocham, Kocham Leno ubóstwiona!

FILIP (*na str.*). Szacowne zdrowie nikt się nie do wie... Jako smakujesz...

LEONORA. Już mię nie złudzi twój głos melodyjny, świetne paradoksy, ani profil grecki... Zabita wiara nie zmartwychwstaje a z nią i miłość przepada. Żegnaj więc.

LUBIN. O nie! nie! po tysiącokroć nie!

LEONORA. Żegnaj, (*z litością*), biedny cyganie, (*oddala się z wolna*).

LUBIN. Ha! więc ja istotnie upadłem tak nisko!... tak nisko!

FILIP. Jak babcię Kocham już wiem co ona lubi! Mężów w trąbę puszczać lubi!

i czynił wszelkie możliwe starania, ażeby pobyt im na Kaukazie uprzyjemnić.

Pierwszego więc zaraz dnia, zajęto się przygotowaniem odpowiednich naboji do strzelania wszelkiego rodzaju zwierząt potrzebnych, oraz żywności zabrać się w góry mającej.

Noc myśliwi nasi bardzo złą spędzili, a to powodu ciągłego wycia szakali podchodzących o zmroku pod same domostwa. Jak to już bowiem wyżej powiedziałem Łagodechy leży u stoku niebotycznych gór, porośłych dzieżkami nieprzebytymi lasami, w których wszelkiego rodzaju dzikie zwierzęta, a pod miastem głównie szakale zamieszkują.

O wiorstę już od miasta spotkać się często można w górach z dzikami, jeleniami, szakalami, szczególnie zaś z niedźwiedziem w znacznej ilości w tych okolicach znajdującym się.

Niedźwiedzie, których jest tu kilka gatunków zarówno zamieszkują góry jak i doliny; a pomiędzy nimi znajdują się niektóre tak wielkie, że masowością swoją dorównują największym litewskim współpracom swoim.

Polowanie wszakże jest tu bardzo utrudnione z powodu niepodobnych do przebycia gęstych lasów; a kolce od dzikich malin i innych pnących się roślin czynią niemożliwem wystawianie przez wyższe zwierzęta, tymbardziej zaś jeszcze podnoszenie takowej.

Myśliwi nasi przywieźli z sobą dwa psy, cetera i jednego pointera, a prócz tego otrzymali pozwolenie od władzy używania Lezginów do obław i polowania.

Wyprawa więc pierwszego zaraz dnia podzieliła się na dwie części z których jedna strzelała przed psami bażanty, w nadzwyczajnej ilości tam znajdujące się; druga zaś część udała się do miejscowości przez niedźwiedzie nawiedzanej.

P. Rembieliński stanął na czatach pod wisniowym drzewem, którego podłużny owoc stanowi jeden z lepszych specyatów dla niedźwiedzi, i słodyczą swoją przyciąga ich do siebie. Wisnie te są bardzo smaczne i przez ludzi z przyjemnością spożywane.

Obławę składało 30 Lezginów, pomiędzy którymi znajdowali się dy-misyonowani żołnierze, wielcy amatorzy polowania.

Rezultat nie był tu pomyślny, niezaleziono bowiem niedźwiedzia i prócz zabitych kilkunastu bażantów przez należących do tamtej części, wyprawy, pierwszy dzień nieprzyniósł zdobyczy w grubej zwierzynie.

Przez dni 8 robiono wyprawy z Łagodech z mniejszym lub większym szczęściem, ale z powodu trudności z jaką obława w gęszczach przedostawać się musiała, zaniechano polowania z obławnikami i postarano o psy gończe miejscowe.

Jak tylko myśliwi nasi otrzymali 6 psów gończych, rozpoczęli natychmiast seryj wypraw w dalsze okolice nad brzegami jezior położone a w stronie Kubaczol znajdujące się, które kolejno po 5 lub 6 dni trwały.

Lezginie którzy tu po większej części w charakterze strzelców występowali, niestrzelają nigdy inaczej tylko do stojącego zwierza; tym więc sposobem rzadko kiedy sposobność strzelania im się tu zdarzała; przed psami, albowiem zwierzyna umykając, tylko przez naszych myśliwych strzelana bywała; zabito w tej stronie 6-ciu dzików, 3 jelenie, 6 szakali i sarn 12; hr. Branicki zabił tu 2 dziki a p. Rembieliński jednego.

Po powrocie myśliwych do Łagodechy, przybył tam również niejaki Bakrazy Gruzin, właściciel ziemskiej posiadłości na Kaukazie, znakomity w tamtych stronach myśliwy, nieraz już przez niedźwiedzie poturbowany, a tak przytęm zacięty ich tępicieł, że na setki zabitych przez siebie kosmatych bartników policzyć by mógł.

Ofiarując się na usługi wraz z 10-ma przyprowadzonymi przez siebie psami gończymi, Bakrazy, zaproponował polowanie na tury i dzikie kozy; myśliwi zatem udali się w góry 11,000 stóp nad poziom morski wysokie i tam pomimo nieprzebytých przeszkód i trudności w dostaniu na strzał tura lub kozy, ubito 4 tury i 2 kozy.

Góry te niezmiernie wysokie mają szczyty swe pozbawione lasów

i w ogóle bujnej roślinności, a prócz niskich traw i urwistych skał nic tam niema, dostęp zaś do zwierzyny jest trudnym niezmiernie, zwierzyna bowiem jest bardzo ostrożna, szczególnie tury, które tam stadami po sztuk 200 chodzą.

Pomimo to, z liczby zabitych 4-ch sztuk, tutejszy gabinet zoologiczny wzbogaconym został jednym wspaniałym okazem tura.

Na tej niezmierniej wysokości, do przebycia której użyto 2-ch dni na wejście, dzień jeden na zejście, a 3 dni na polowanie, Wysocki zastrzelił 2 kuropatwy arcy rzadkie i trudne do zabicia, trzymają się bowiem na szczytach skał pokrytych śniegami, są więc prawie niedostępne.

Kuropatwy te znane pod nazwiskiem „Megalo-Perdix“ znajdują się w gabinecie zoologicznym; są one olbrzymich rozmiarów; o wiele bowiem większe są od bażantów.

Schodząc z gór, myśliwi zastrzelili kilka sarn, strzelano też do dzików ale bezskutecznie.

Ekspedycja ta dni sześć trwająca, niezmiernie zmęczyła myśliwych, którzy też po jedno-dniowym odpoczynku, udali się w okolice wsi Biełakany o 30 wiorst od Łagodechy, odległej, gdzie polowano dni kilka.

Hr. Konstanty Branicki zastrzelił tam niedźwiedzia; doktor Horoch przestrzelił innemu niedźwiedziowi nogę, którego dobił p. Rembieliński, psami zaś zaszczuto 2 niedźwiedzi mniejszego gatunku; prócz tego padło tam kilku dzików, sarn i jeleni oraz kilkadziesiąt sztuk bażantów.

Najgorszym zaś rezultatem tych polowań okazała się febra, której myśliwi nasi dostali; febra w niektórych miejscowościach na Kaukazie śmiertelną bywa. Nieczekając więc dalszych jej skutków natychmiast nasi myśliwi w drogę ruszyli i niezatrzymując się nigdzie, do Białocerkwi powrócili.

Polowanie to aczkolwiek świetne w rezultaty, w kraju zupełnie nieznanym ale bogatym w krajobrazy i niezmiernie malowniczym, niemożę nigdy iść w porównanie z polowaniami na lwy w Afryce, przez hr. Konstantego Branickiego dokonanemi, gdzie osobista odwaga i ciągłe wystawianie życia swego na szwank, szły w parze z przyjemnością zastrzelenia kilku lwów podczas skwarnych nocy letnich, tego afrykańskiego piekła.

Polowania te na lwy, o których tkwią nam jeszcze w pamięci opowiadania hr. Konstantego, spodziewamy się wkrótce skompletować i ogłosić. Są one arcy ciekawe i obfite w epizody dotąd małej liczbie osób znane.

Miscellanea. Marszałek Lefebvre pomimo zarzucanej mu naiwności, znakomicie znajdował się w rozmaitych okolicznościach.

I tak razu pewnego, przybył do niego jakiś przyjaciel lat dziecinnych, który zachwycony będąc okazałością mieszkania, znakomitą kuchnią i świetnym przyjęciem jakiego doznał, nieprzestawał powtarzać „Jakież szczęśliwym jesteś panie marszałku.“—Widzę odpowiedział Lefebvre zwykłym swym alzackim akcentem, że zazdrościsz mi tego co posiadam; oioż jeżeli chcesz, to odstąpię ci to w sposób o wiele tańszy od tego, w jaki wszystko to zdobyłem; — wyjdziemy tylko na podwórze, palnę do ciebie ze 20 strzałów karabinowych na kroków 30, a jeżeli niezabiję cię w ten sposób, to wszystko co posiadam do ciebie należeć będzie. I cóż ty na to? Niepodoba ci się moja propozycja? A więc wiedz o tém, że za nim doszedłem do tego czém jestem; więcej jak tysiąc razy strzelano do mnie i to na bliższą metę; odwaga więc tylko osobista i szczęściem że mnie niezabito zdobyłem buławę marszałkowską i te dostatki które podziwiasz.

Marszałek Lefebvre, gdy pierwszy raz wystąpił w mundurze marszałka Francji, spotkał się z przyjacielem swym Radcą Stanu, który chwalił bardzo piękność munduru.

— Spodziewam się, że musi być pięknym, skoro bez odpoczynku przez lat 35 przygotowywałem go do wdziania, a dziś po raz pierwszy mam go na sobie.

Tenże Marszałek rozgniewawszy się na pewnego magnata; rzekł mu:—Dumny jesteś z tego, że masz antenatów, oioż wiedz, że ja więcej znaczę; sam bowiem jestem antenatem i daję przez me mężstwo świetny początek rodowi moim następcom.

ADMINISTRACYA „GOŃCA TEATRALNEGO”

ma honor upraszać JW. i W. PP. o nadesłanie zaległej prenumeraty za kwartał 1-szy r. b.

Prenumeratę uprasza się nadsyłać wprost do Administracyi „Gońca“ ulica Nowolipki Nr. 3.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:		Cena numeru pojedynczego kop. 20.
Rocznie	Rs. 10 kop. —	Rocznie	Rs. 12	
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6	
Kwartalnie	„ 2 „ 50	Kwartalnie	„ 3	

Weatherbit ogier pełnej krwi angielskiej.

